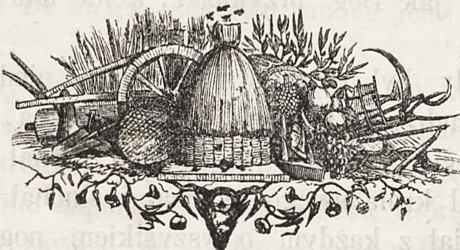
Tom VII. Nr. 4.

1. Sierpnia. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BŁOGOSŁAWIONY WINCENTY KADŁUBEK.

Już to temu będzie dobrych siedem setek lat, jak królował w Polsce Kazimierz II król dobry i sprawiedliwy, co się zowie. Miał on ci kilku braci, co jako starsi od niego byli także królami w Polsce, ale jeden się przerobił na Niemca i umarł między Niemcami, drugi także był przez pół Niemcem i także marnie poszedł ze świata, a znowu trzeci był lepszym, ale najlepszym to był ten Kazimierz. A jak król dobry, to tam i ludzie nie źli, bo wtedy Bóg błogosławi i na dostatku i na ludziach.

Otóż za tego Kazimierza króla byli Polacy pobożni, pracowici — panowie pilnowali wojaczki i granic kraju bronili, a kmiecie obrabiali role i sobie i panom, bo też panowie za nich się bili i lali krew swoją. A panie po dworach kochały i pilnowały tak swoje dzieci jak i wiejskie dziatki, i uczyły ich czego można było. I było wielkie szczęście wtedy na całą

Polskę, bo kmieć trzymał z królem, z panem, z księdzem i dbał o swoje, jak Bóg przykazał, a nie słuchał żadnych bałamutów.

Otóż wtedy był ci we wsi Stobnicy, niedaleko Krakowa, jeden kmieć Andrzej Kadłubek, ale to gazda, jakiegoś ta nigdzie na świecie drugiego nie zdybał. Znał on na palcach kraj swój, znał króla swego i kochał i słuchał go, znał panów i księży, i umiał z każdym o wszystkiem pogadać i wiedział ta bez gazet co się dzieje w całej Polsce, i rozumiał co trza było robić. Ale też i pobożny był jakby jaki zakonnik, i czy to w domu czy na polu, zawsze paciorki święte odmawiał, nigdy gęby niczem nie plamił, a dla drugiego szczery, jak ten święty Marcin, co ukroił pół sukni dla ubogiego. I babina jego była jak anioł, co to robi, co mu Bóg rozkaże, a nie hałasuje ani krzyczy ani też nie poniewiera nikogo, choćby był i złym. I miał ci ten Andrzej dziatki dorodne, ale trzymał je doskonale na pasku i rządził niemi jak Pan Bóg przykazuje. A między chłopcami był jeden Wicuś, co go to i ojciec i matka lubili, bo był prędki do roboty i do wysługi, a cichy i potulny jak trusia. Miał on ci wielką ochotę do nauki, to też ojciec rozumny nie ganił mu tego, ale mu mawiał:

— Nie trap się! nie moje dziecko, jak ja pozbieram da Bóg z pola, to sprzedam potroszę ziarna i oddam cię do zakonników do klasztoru w Jędrzejowie, a oni cię tam wyuczą wszystkiego, abyś umiał i Boga pochwalić i królowi naszemu posłużyć, i abyś też nie pohańbił naszego uczciwego rodu, ale był tak usłużnym krajowi, jak to i ja się wysługuję, czem jeno mogę.

I zrobił ojciec jak mówił, bo pod zimę odwiózł syna Wicusia do Jędrzejowa, choć ta i matka setnie płakała i dzieci aż się zanosiły od płaczu, bo go wszyscy okrutnie lubili. A matka mu mówiła na drogę:

— O moje dziecko! ucz się ucz! bo dobrze mieć i grunt, ale najlepiej umieć dużo, bo wtedy głowa więcej znaczy niż dziesięć gruntów, a jedno mądre słowo więcej niż dziesięć głupich głów. A pamiętaj zawsze o Bogu i nie zapominaj o kraju naszym, i o tej Stobnicy, gdzieś się urodził i wychował.

I zajechał Wicuś z ojcem do Jędrzejowa i tam pozostał, a ojciec zapłacił za niego, zostawił mu co jeno było potrzeba, i żegnał go tak:

— Pamiętaj Wicuś! jak ja miarkuję, to tu są zakonnicy nie nasi krajanie, ale od Ojca świętego przysłani i mówią tak, że wyrozumieć trudno. Ty moje dziecko słuchaj ich, ucz się ich mowy, ale nie zapominaj o tej mowie, którą i ja i matka twoja mówiliśmy zawsze do ciebie; i pisz sobie w tej mowie, jakiej używa nasz dobry król i nasi panowie, abyś potem, jak się na co dobrego wyuczysz, miał służbę jaką przy naszym królu.

I odjechał ojciec z płaczem, a co kilka kroków to się obzierał za dzieckiem i czapką go jeszcze żegnał i ręką machał, a potem zapłakany westchnął do Boga, podciął konie i do domu jechał.

I był Wicuś w Jędrzejowie, posługiwał w kościele do mszy świętej i do każdej ceremonii w nabożeństwie, śpiewał pieśń do matki bożej: „Boga-Rodzico! dziewico“ i inne pieśni pobożne, wyuczył się śpiewu dobrze, nauczył się czytania i pisania, a lubili go zakonnicy za jego czystość i pobożność i posługę do wszystkiego. A że im się podobał bardzo, to go nie chcieli zaponiewierać na jakiego prostego posługiwacza w klasztorze, ale mu raz tak powiedzieli:

— Jeżeli ty chcesz i ojciec na to pozwoli, to my cię poślemy do naszego kraju, gdzie mieszka Ojciec święty i gdzie są wielkie szkoły i nauki, i tam się dopiero wyuczysz rozumu, a potem jak zechcesz, to sobie zrobisz, albo wrócisz do nas tu na zakonnika, albo sobie zostaniesz księdzem na parafii, a może cię król zrobi i biskupem, jak zasłużysz, albo będziesz sobie panem przy królu i pomożesz mu rządzić w swoim kraju.

I zrobił Wicuś tak, bo mu dobrze radzili ci zakonnicy, a ojciec mądry chętnie na to przystał i nie pożałował straty dla dziecka, ale sprzedał i parę koników i krowinę i zboże z zeszłego roku i złożył sumkę; i matka też przyczyniła, co sobie za omastę uskładała, a Wicuś pojechał na naukę wielką aż do krajów Ojca św. do miasta Bononii. Zaś gdy odjeżdżał, mówił mu znowu ojciec:

*

— Pamiętaj synu! tuś się dobrze sprawował, matka twoja i krewni wszyscy cieszą się z tego. Ale teraz idziesz za granicę między cudzych ludzi. Uważaj też na siebie, aby cię tam kto nie zbałamucił i do czego złego nie namówił, a pamiętaj sobie, że jesteś naszym krajanem, i abyś znowu do nas powrócił i twemu krajowi służył.

I pojechał Wicuś do miasta Bononii, ale tam będąc dłużej, zapomniał na radę ojca, trochę go tamci ludzie poczęli bałamucić, wyuczył się innej mowy i szwargotał sobie z ludźmi, i to mu się podobało że umiał tak szwargotać, i byłby tam między cudzymi ludźmi, daleko od domu swego i od swoich, może się i zagubił i wniwecz obrócił, ale napomniał go surowo dawny jego biskup z Polski z miasta Gniezna, niejaki Gryff, i powołał go do kraju. Wincenty odżył znowu między swoimi, porzucił obce szwargotanie, stał się pobożnym i chciał zostać księdzem i Bogu służyć. Ale ojciec i matka jego już nie żyli, a bracia jedni pomarli a drudzy siedzieli na gruncie i byli tak samo dobrymi jak nieboszczyk ojciec. I prosił Wincenty już dosyć letni wtedy swego biskupa:

— Ojcze biskupie! dopomóż mi, a ja pójdę uczyć się na księdza, ale nie do krajów Ojca świętego, tylko do innego gdzie miasta.

A biskup mu rzecze:

— Chętnie ci pomogę, bo ty masz głowę i będziesz człowiekiem, i ręczę ci, że możesz być i na mojem miejscu biskupem, bo ty wiesz, jaki to nasz król — on tam nie uważa, czy pan, czy kmieć, aby jeno mądry i dobry, a zaraz mu daje urząd jaki; on się mię pytał już nieraz o ciebie, dla tego ja cię powołał znowu do kraju.

I poszedł sobie Wincenty Kadłubek do miasta Paryża, gdzie to mieszka teraz cesarz Francuzów, i tam za pomocą biskupa i króla został księdzem, i wrócił do domu jako pobożny i miłosierny ksiądz, a mądry i uczony, jakby jaki profesor.

Ledwo wrócił do kraju swego, a tu woła go król Kazimierz do siebie i mówi:

— Dobrze żeś przyjechał, bo mi bardzo potrzeba mądrych ludzi, a ty masz rozum i jesteś dosyć w latach i pobożny, otóż

jeżli chcesz, to pozostań przy mnie w Krakowie, a jak nie, to idź na proboszcza do Sędomierza — chciałbym tobie odpłacić za to, iż twój ojciec był tak dobrym kmieciem, a dwóch twoich braci poległo na wojnie i wiernie mi służyli.

Podziękował ksiądz Wincenty królowi za takie łaski i odpowiedział:

— To wolę już być proboszczem w Sędomierzu, bo tam będę mógł moich rodaków nauczać, bo tam jest i szkółka, to będę uczył dzieci małe, na wieś pojadę i będę z ludem żył i uczył go cnoty, a dochody też tam znaczne, to mogę dopomagać i krewniakom, i sierotom i wdowom.

A król pochwalił go za to i powiedział:

— Dobrze! bardzo dobrze! idźże tam i uważaj mi, aby tam mój lud nie miał żadnej krzywdy, a bądź dla ludu ojcem, a jak co będziesz potrzebował to donieś, a ja nie żałuję niczego dla dobra i szczęścia ludu mego polskiego.

I odjechał ksiądz Wincenty do Sędomierza — a był ci on tam nie od parady proboszczem. Stawiał kościoły i kaplice, zakładał szpitale, wiedział o każdym biednym w parafii, dawał strawę gotową i chleb albo pieniądze dla ubogich, dozierał szkoły i dzieci, a król mu pomagał we wszystkiem. Ale pomarł król Kazimierz Sprawiedliwy, a została wdowa królowa z małym królewicem Leszkiem, co to miał włosy jak len złote i ludzie go nazwali dla tego Leszkiem Białym. A jak to biedna wdowa każda jest nieszczęśliwą, tak było i z królową. Dla jej małego królewica był opiekunem stryj, ale to był na pół zniemczały i bardzo łakomy człowiek, to też gryzł królowę i chciał od niej zapisów różnych. Ta biedna do kogoż miała iść? Oto znała ona dobrze księdza Wincentego z Sędomierza, i tak sobie powiedziała:

— Do tego księdza się udam, to ojciec wdów, i mnie on tam nie da zaginąć!

I zabrała syna i pojechała z Krakowa do Sędomierza, gdzie był i ksiądz dobry, ale i pan starosta Gaworek był także bardzo dobrym panem. I tam była aż królewic wyrósł i królem został. A gdy Leszek do Krakowa wrócił i biskup tam umarł, zaraz powołał księdza Wincentego na biskupa do Kra-

kowa. I był ksiądz Wincenty, syn polskiego kmiecia, najbogatszym biskupem i trzecim po królu. Ale on tam nie był z tego pysznym, nie zapomniał o tej wiosce, gdzie się urodził i wychował, jeździł tam do krewnych i nie wstydził się ich prostej chałupy, dąwał pomoc dzieciom tej wsi, wystawił kościół bardzo piękny, a ludzie ze Stobnicy chodzili do niego do Krakowa, a on się ich nie wstydził ani nie gardził nimi. On mówił sobie:

— Każdy powinien po sobie jaką dobrą pamiątkę zostawić, a co Bóg komu daje, to trza na dobre obracać — i rozum i zdrowie trza Bogu oddać na chwałę a ludziom na usługę.

I był tak szczerym, że co miał to dawał królowi, to na wojsko, to na wojnę, to na szpitale — a księżom też mówił:

— Macie w kraju swoim chleb i kościoły, to też nie żałujcie niczego dla waszego kraju, kiedy wam tu dobrze! Król, pan, kmieć i ksiądz powinni razem stać o swój kraj i dawać wszystko, co jeno potrzeba dla kraju.

A panom znowu mówił:

— Macie więcej rozumu i majątku, to służcie lepiej królowi i krajowi waszemu, aby też i lud miał z was dobry przykład i naukę.

I lubił go bardzo król Leszek, i sadzał go zawsze koło siebie, i mówił mu:

— Kmieć przy pługu, ksiądz w kościele, pan na wojnie, biskup w mieście a król w pałacu, to wszystko bracia, to jeden lud i jeden kraj.

Ale razu jednego strzelił piorun w sam kościół, gdzie mieszkał biskup Wincenty, i spalił się kościół. To nastraszyło tak staruszka biskupa, że uznał w tem palec boży i jakąś przepowiednię złą dla siebie. I zebrał starowinka pobożny ostatni grosz i naprawił kościół, wszędzie w swych wsiach uporządkował kościoły i folwarki, a co mu zostało, to zrobił z tego fundusz dla biednych dzieci ze Stobnicy i rozdał ubogim, a potem zdjął i suknię biskupią i poszedł znowu do Jędrzejowa do zakonu, aby tam w pobożności czekać godziny śmierci między zakonnikami. Nie rad był król Leszek temu, bo mu bez bi-

skupa było jakby bez prawej ręki, i prosił go aby nie odchodził, ale biskup Wincenty wyprosił się i został zakonnikiem.

I był on pierwszy Polak między tymi cudzoziemcami zakonnikami. W tym klasztorze żył pięć lat, a choć starowina i na oczy prawie ciemny, to przecież pracował ciągle i napisał mądre książki, które jeszcze dziś mamy i z nich się uczymy. Napisał historję, jacy to byli królowie dawni w Polsce, a których on sam zapamiętał; opisał życie króla Kazimierza Sprawiedliwego, co mu pomagał do szkół: potem życie królowej wdowy i jej syna królewica Leszka Białego; potem życie stryja i opiekuna tego królewica, i jeszcze jednego króla Władysława Laskonogiego. A o tych królach pisano już we Dzwonku.

I umarł biskup Wincenty Kadłubek roku 1223, przeżywszy 70 lat, a po sobie zostawił tyle dobrego, że potem Ojciec święty uznał go za świętego. A wy moi kochani! uczcie się ztąd, jak to i kmiecy syn może być człowiekiem, i jak to dawniej bywało w tym polskim kraju, że dzieci rolników były panami, biskupami, i zasiadały przy królach, a po śmierci zostały więcej niż króle na tej ziemi, bo świętymi w niebie zostawali. I proście tego świętego o pomoc: Wincenty święty! módl się za nami biednymi i dopomagaj nam w dobrych zamysłach do wszystkiego dobrego. A teraz zaśpiewajcie sobie pieśń do tego patrona świętego.

X. Wojciech z Medyki.

PIEŚŃ

do św. Wincentego Kadłubka.

(*Na nutę jak: Trójca Bóg Ojciec.*)

Święty Wincenty Polaków patronie
Módl się za nami tam w górnym Syonie!
Uproś nam, uproś ducha pobożności
I ducha męztwa, zgody i miłości. —
Boże wysłuchaj modlitwę świętego
Patrona całej Polski Wincentego,

I daj natchnienie ludowi polskiemu
Podnieś w nim ducha ku wszemu dobremu!
Bo dawniej kmiecie pobożniejsi byli
Skoro z ich rodzin Święci wychodzili;
Ongi kmieć polski był pilny, pobożny,
Nieznał pijaństwa, w domu był zamożny,
Ksiądz go nauczał w domu i w kościele,
Król z panem byli jego przyjaciele.
A królewicze choć z złotą koroną
Byli dla sierot i dla wdów obroną,
I pańskie dzieci choć w innej odzieży
Były jak bracia dla wiejskiej młodzieży:
Król, pan i kmiotek mieli jedną wiarę
W jednym ołtarzu najświętszą ofiarę,
Jedną Ojczyznę i jedno zbawienie,
A na cmentarzu wieczne odpocznienie.
Pan z kmieciem zawsze szczerze się witali,
Gdy się we dworze lub w polu spotkali,
Kiedy wesoło, to się radowali,
A kiedy smutek, to razem płakali.
Razem bywali co dzień lub w Niedzielę
Na nabożeństwie w pobliskim kościele,
I razem pieśni ojczyste śpiewali
I razem Boga o szczęście błagali.
Gdy kmieć podupadł, pan mu rękę podał,
Gdy pan był w biedzie, kmieć mu rady dodał,
A nigdy biedni z głodu nie ginęli,
Biednego wszyscy do domu przyjęli.
Królowe, pany i króle z paniami
Bywali nieraz dla kmieci kumami,
I chłopki panom dziateczki trzymali
Do chrztu świętego, gdy tego żądali.
Jak ojciec z dziećmi, tak pan i gromady
Żyli po wioskach bez gniewu i zdrady,
A król był dla nich ojcem dobrotliwym,
Więc cały naród zawsze był szczęśliwym.
Wtedy Stobnica drobniutka wiosczyna
Wydała na świat pobożnego syna;
Z matki chłopianki, a z ojca rolnika
Wyszedł Wincenty z niskiego kącika.
Potem porzucił swą słomianą strzechę
Został kapłanem na ludu pociechę,

I był proboszczem dobrym, miłosiernym
Bogu, królowi zawsze sługą wiernym.
Został biskupem w przesławnym Krakowie,
Gdzieto siedzieli polaków królowie;
Tam wszystkie skarby dawał chętnie z siebie,
Dla swej Ojczyzny, gdy była w potrzebie.
Na starość został cichym zakonnikiem
Między murami jakby pustelnikiem,
I dla nas zacne zostawił przykłady,
Byśmy tak żyli, jak nasi pradziady.
Święty Wincenty! tyś szczęśliwy w niebie.
My twoi bracia w tak ciężkiej potrzebie!
Wstaw się za nami do Boga żywego,
By nam udzielił ratunku śpiesznego,
Byśmy się prędko i grzechów pozbyli,
I wkrótce szczęścia lepszego dożyli;
A potem w niebie z tobą i z ojcami
Chwalili Boga razem z Aniołami. Amen.

X. Wojciech z Medyki.

Nie przeklinaj!

Czyli:

Jaka kara boża nawiedziła Paraszkę z Korczyna za przekleństwo.

Opowiedział sierota z Manajowa.

Była wielka zawierucha wieczorem, kiedy na weselu u krewniaczki hulała Parasia i ząbki szczerzyła do Janka Korczyńskiego, także szlacheckiego syna. Chciała ona zapomnieć o smutnym Mateuszku, który nie słyszał jej wołania. Ale choć Parasia udawała wesołą i różnego tańca szła z Jankiem, to taki jakoś nie mogła sobie wybić z głowy Mateuszka. A kiedy nad ranem muzyka grać przestała i wszyscy rozeszli się do domów, i kiedy Parasia zmęczona padła na łóżko i mocno zasnęła, śnił jej się ciągle piękny i smutny Mateuszek. I śniło jej się, że idzie za nim w góry, i szuka i woła, a znaleźć nie może. Więc dziwnie smutno jej się zrobiło, i płakała i zawo-

działa przez sen, że aż matka przyszła dopytać się co jej takiego.

Parasia opowiedziała matce wierzytelnie cały sen, i to, że się jej Mateuszek bardzo podobał, i że nawet nie potrafiłaby żyć bez niego. Parasia była zepsutem dzieckiem, bo ją rodzice okrutnie kochali i pieścili, i wszystko robili jej co chciała. Nawykła więc tak, że skoro czegoś jej się zachciało, to i zaraz dać trza było. Niedobrze to tak, i na złe zawsze wyjdzie, kto tak dzieci rozpuszcza, jak to wnet pokaże historya o Parasi.

Otóż, jak się jej zachciało Mateuszka, nuż prosić matki, aby ją za niego wydała. Matka dobra, tuliła dońkę jak mogła, i obiecała prosić za nią i za Mateuszkiem u ojca, jak będzie dobra chwila potemu. Parasi jednak było bardzo spieszno, i nie myślała żeby jej ojciec mógł czego odmówić; więc chciała sprawę jeszcze tego dnia zakończyć, na czem wyszła najgorzej.

Parasia pobiegła wprost do chaty Mateuszkowej. Był on sam w chacie i jego matka. Mateuszek niedawno wrócił do domu z węglarki, a chociaż zmęczony i zgłodniały, siedział koło matki i zamiast jedzenia rozprawiał z nią żywo o Parasi. Skoro wbiegła Parasia, rzuciła się do nóg matki Mateuszkowej, i jęła ją prosić okrótnie, aby jej nie pożałowała Mateuszka, który jej bardzo przypadł do serca, i aby dziś jeszcze swatów do ojca przysłali. Matka zaczęła tłómaczyć, że ojciec nie pozwoli ale gotów się jeszcze pogniewać, bo Mateuszek ubogi, a Parasia córka bogatego. Na to zerwała się Parasia i zawołała:

— Wy nie wierzycie matko; ale niech ino Mateuszek pójdzie ze mną wprost do ojca, to zobaczycie że wszystko będzie dobrze.

I pochwyciła Mateuszka za rękę, i pociągnęła go za sobą. Mateuszek zatrzymał się na chwilkę, ale jak na niego spojrzała Parasia, to zapomniał o wszystkiem i jak szalony za nią poleciał.

Skoro przyszli przed pana Dominika, jęła Parasia rozpowiadać, jak ona z Mateuszkiem bardzo się kochają. i jako ona za nikogo innego za mąż nie pójdzie. Pan Dominik aż poczerwieniał z gniewu i strasznym głosem zawołał:

— Co ja szlachcic, pierwszy bogacz we wsi, mam ciebie wydać za lada chłopa, który niema co jeść w chacie. Czy ty oszalała dziewko?

— Nie tatuniu, ja nie oszalała — odrzekła Parasia — ale mówię wam, że albo za niego albo za żadnego nie pójdę. Toż i wasz tato byli prostym kmieciem, i nic dziwnego, jeżeli za zięcia będziecie mieli uczciwego kmiecia.

— Patrzno matko — zawołał pan Dominik do żony — to wczoraj była na weselu i chulała z innymi, a dziś jej się zachciało na męża tego urwisza chłopskiego. A gdybym miał skamienieć, to na to nie pozwolę, i póki życia mego nie pozwolę.

— At nie przeklinaj stary — rzekła pani Dominikowa i przeżegnała się. — Toć i ja byłam chłopką, jakieś się ze mną żenił, a przecież nam dobrze. Dlaczegoż poczciwy Mateuszek nie miałby się ożenić z naszą Parasią, tać to przecie najporządniejszy chłopek ze wsi.

— Bo to twoja chłopska natura ciągnie cię do tego chłopa — krzyknął pan Dominik — i radabyś córką twoją, najbogatszą dziewkę we wsi i szlachciankę dać takiemu ladacowi. A to z kąd? Ja nie pozwolę na te wasze zmowy, i gdybym skamieniał, tak nie pozwolę.

— Ot nie klnij i nie obrażaj Boga, a pomódl się, to może odejdzie zła hundra, — odrzekła pani Dominikowa.

— A ja ci właśnie mówię kobieto, że gdybym miał skamienić to nie pozwolę — krzyczał ciągle pan Dominik.

— A to skamieniejcie tatulu, i ja niech skamienieję, jeżeli nie baczycie na szczęście i żal dziecka waszego — zawołała nagle Parasia, aż zębami zgrzytnęła, jak nieprzytomna. Mateuszek wybiegł z chaty, a pani Dominikowa z płaczem przeżegnała się i rzekła:

— To już jakieś okaranie Boże dzisiaj was nawiedziło. A jak ty dziewko śmiałaś kląć ojca twego! A idźże przeprosić i zmów pacierz na odwrócenie kary Boskiej.

— Ot nie pójdę, — odrzekła Parasia. — Co mi to za ojciec, co tylko klnie naczem świat stoi.

Na to zerwał się pan Dominik w okrótnej złości, porwał Parasię za włosy i rzucił o ziemię tak silnie, że aż zadudniało. Parasia nie podniosła się, a kiedy ją ocucili i ze krwi obmyli, to zaczęła śmiać się strasznie i dziwne wygadywać rzeczy. I wtedy z ogromnym płaczem i smutkiem poznali rodzice, że Parasia oszalała.

Zaś kara ciężka nie minie nigdy ludzi za obrazę Boską i za nieposzanowanie rodziców. Od onego czasu został ciągły smutek w chacie państwa Dominików. Parasia szalała ciągle, a ojciec ze zgryzoty sumienia, aż zaniemógł. I długo biedził się w chorobie, póki go pan Bóg nie zabrał z tego świata. Kiedy go zaś w trumnie złożyli na wóz, aby zawieść na smentarz, konie ruszyć nie mogły z ciężarem. Długo nie wiedziano co to znaczy, aż nareszcie kazał ksiądz trumnę otworzyć, i zamiast trupa ujrzano tam kamień zczerniały, który całkiem tak wyglądał jakby pan Dominik skamieniały.

W niedługi czas poźniej zginęła szalona Parasia. A była jej śmierć także dziwna. Chodziła ona nad rzekę, która płynie z góry Paraszki, i tam albo spiewała albo zawodziła. I razu jednego rzuciła się w szaleństwie do wody. A kiedy ludzie przybiegli ją ratować, znaleźli w rzece tylko kamień zczerniały, a ten iście wyglądał, jakby trup Parasi.

Takąto straszną naukę uczynił Bóg dla ludzi, aby wystrzegali się przeklinań. W Korczynie znają ludzie dobrze całą tę historyę, a żeby też i inni poznali, i brali z tąd naukę, spisałem ją wam tak, jak mi opowiadano.

Piękne przykłady.

O tegorocznej kolędzie w Gręboszowie.

Wojciech z pod Opatowca do Grzesia z Mogiły.

Przyrzekłem wam, mój Grzegorzu! donieść o dalszych skutkach z tegorocznej kolędy naszej. Szósty to już prawda

mija miesiąc od onego danego przyrzeczenia; i może tam już nie raz pomyśleliście: Jakoż Wojciech zaspał gruszki w popiele, przyrzekł pisać, a dotąd ani dudu. Lecz słowo dał, przyrzekł, to i wypełni, bo nierzetelnością Wojciech się przestrasznie brzydzi, jako Polak z krwi i rodu. Jeżeliście tak o mnie myśleli, to wam za to dziękuję i zapewniam, żeście się ani iskry nie omylili; bo to u mnie prawie od dziecka taki zwyczaj: najprzód rozważyć dobrze w swej głowie, tak i siak, na tę i na ową stronę i dopiero potem słowo wyrzec, ale jak się go wyrzekło, to już lepiej chyba umrzeć, jak go nie dotrzymać.

Taki był honorny nasz polski naród zdawien dawna, że przyrzeczenie chociaż bez świadków w cztery oczy dane drugiemu — stało za przysięgę. Nie dotrzymać danej obietnicy znaczyło tyle, co utracić na zawsze poczciwe imię, i stać się w oczach innych na zawsze nierzetelnym. Sroga kara! ale zasłużona. Bo czegoż lepszego wart kłamca, oszust, zdrajca, człek fałszywy?

Człowiek, który dane przyrzeczenie nawet srogiemu wrogowi dotrzymuje, to mi to dopiero mąż jak się patrzy, taki to dopiero wart być wójtem, chociażby i nad kilkoma wsiami. Takiego tobym chyba w złoto oprawił, a tem bardziej, że w naszych czasach cnota rzetelności dosyć poszła w poniewierkę; lecz w Bogu nadzieja, że tak, jak inne obyczaje obce, nie nasze, nie polskie powoli nas opuszczają; tak i nierzetelność, opuści naszą polskę ziemię, a dawnych ojców naszych prostota, szczerość i prawość zamieszka w każdej duszy co się tylko polską mianuje.

Otóż mój Grzegorzu, donoszę wam, że oprócz: Dzwonka, Gwiazdki Cieszyńskiej, Przyjaciela Domowego i Narodowej Gazety, mamy za pieniądze uzbierane po kolędzie 80 innych pożytecznych książek. Cóż powicie, czyli to nie dość na pierwszy raz?

Książki one wypożyczamy, i zamiast jak to dawniej bywało, trawić i marnować czas w Niedzielę i święta po nabożeństwie na leżeniu gnuśnem, siedzeniu po karczmach, nierozsądnych a często grzesznych mowach; schodzimy się razem i czytamy z onych ksiąg. Jednemu to a drugiemu owo się spo-

doba. Ten to, drugi co innego zapamięta, i tak przybywa rozumu do głowy, pobożności do serca, a miejsce dawnych grzechów, zajmują powoli cnoty w domu i poza domem. — Trzeba wam mój Grzegorzu i to wiedzieć, że mimo częstych, i gęstych opłatków, co jeden po drugim na nas lecą, lud w naszej parafii nie żałuje grosz na książki. Ledwo ks. pleban zapowie z ambony, że ma książki, a już lud ciśnie się i rozchwytuje je. I tak: Pielgrzymka ks. Gondka do ziemi ś., Prawdy nad prawdami bardzo użyteczna książka do spowiedzi, opis żywotów tych św. męczenników, co je teraz ojciec ś. kanonizował, Podróż Borunia do Rzymu powszechnie w naszej parafii znajome.

Ale to jeszcze nie wszystko, o tej naszej kolędzie. Oto w tych dniach wprowadziliśmy do naszego kościoła do poświęcenia ku służbie Pańskiej z kolędnych pieniędzy sprawioną nową chorągiew. Ponieważ ta chorągiew jest na pamiątkę tegorocznej kolędy, dla tego na niej jest na jednej stronie obraz: Narodzenie Pana Jezusa, około którego mali kolędnicy klęczą, a na dole napis: „Wdzięczni kolędnicy na pamiątkę kolędy z roku 1862 poświęcają parafianom“. Na drugiej zaś stronie jest ś. Wojciech.

Chorągiew jest zrobiona z materyi jedwabnej zielonej, a nad nią krzyż śrebrny. Kolor zielony oznacza nadzieję. Bo i czyjeż serce nie było pełne nadzei lepszych czasów przy przyjściu na świat Zbawiciela naszego? Któż i dziś nie żyje nadzieją lepszych czasów, czasów takich, gdzie miłość wzajemna zajmie miejsce tej nienawiści, która się teraz często wśród nas spostrzegać daje?

Ś. Wojciech na drugiej stronie obrazu przypomina nam, pierwsze czasy wiary ś. na naszej ziemi, przypomina nam, że ś. Wojciech był jednym z pierwszych opowiadaczów ewangelii w naszej ojczyźnie. On to utwierdził ojców naszych w ś. wierze i został pierwszym patronem całej Polski. Biały krzyż nad chorągwią uczy nas, że tylko z czystem sercem, i pokutą ś. poświęconą duszą, dla zasług uskarbionych przez Jezusa na krzyżu można przyjść do onego nieba, które nam swym szczytem on krzyż ponad chorągwią wskazuje. —

I tak dziękujemy Panu Bogu i za ten postęp u nas. Dawniej z kolędy korzystali żydzi, a teraz my korzystamy i korzystać będą nasze dzieci. Polecam was Panu Jezusowi mój miły Grzegorzu, a zachowujcie w sercu i pamięci waszego Wojciecha, co tu choć z dala z pod Opatowca często o was myśli.

Wojciech z pod Opatowca.

RÓŻNOŚCI.

Wściekły wilk. Jeszcze w zimie, bo jakoś zaraz po nowym roku, zdarzył się straszny wypadek wścieklizny we wsi *Ewangielewicze*, w powiecie słuckim, przez co wiele ludzi w okropnych mękach życie potraciło; ale że to daleko od nas, bo aż na Litwie, za którym krajem kończy się już ziemia polska i dalej sami tylko Moskale mieszkają, więc dopiero teraz o tem dowiedzieliśmy się.

Owoż trafiło się, że o samej północy kiedy wszyscy ludzie już po chatach spali, wpadł do onej wsi wściekły wilk. i wśród powszechnego strachu i zamieszania w ciemnej nocy, przeszło sześćdziesiąt ludzi pokąsał; 58 w samych Ewangielewiczach, a kilkoro przede wsią na drodze. Straszny jest pies kiedy go wścieklizna napadnie, ale wilk wściekły, jako zwierz dziki i drapieżny jest daleko niebezpieczniejszy, bo obyczajem każdego zwierza leśnego boi się białego dnia i tylko w nocy odważa się napaść na mieszkania ludzkie; a tak człowiek w ciemności nie wie jak się ratować i czem się obronić. Otóż i tutaj gdyby był wilk wściekły w dzień na wieś napadł, byłby pewnie tyle nieszczęścia nie narobił; ale w nocy skoro w pierwszej chacie ludzi kaleczyć i szarpać począł, drudzy sąsiedzi na krzyk tych nieszczęśliwych pozrywali się ze snu i powybiegali przed chaty zobaczyć co się dzieje, czy się broń Boże gdzie nie pali, i nim się który dowiedział o niebezpieczeństwie, już to straszne zwierze w jego własnej chacie gospodarzyć zaczęło. I byłby tak ten wilk daleko więcej ludzi o śmierć lub kalectwo przyprawił, gdyby się był nie znalazł jeden gospodarz odważny i przytomny, nazwiskiem Apanazy Rocko, który z narażeniem własnego życia drugich ocalił.

Apanazy Rocko mieszkał w środku wsi. Usłyszawszy krzyk i wrzawę, wyszedł zobaczyć co się święci i dowiedział się, że to wilk wściekły; lecz zanim miał czas pomyśleć coby tu zrobić, już wilk dobiegał z kolei do jego chaty i rzucił się na żonę Rockową, która także była wyszła. Wtedy Rocko skoczył żonę ratować tak jak był z golemi rękami. Jedną ręką złapał wilka silnie za kark, a drugą wpakował mu głęboko w gardło, wołając na cały głos:

— Bijcie czem możecie, nie puszczę go.

Jakoż niejaki Szuleszko żołnierz, poszukał prędko siekiery i kilkoma cięciami wilka na miejscu zabił. Jednak Apanazy Rocko przypłacił życiem swoją odwagę; bo choć nie bardzo był pokaleczony, przecież w pięć tygodni na wściekliznę umarł; Rockowa po czterech miesiącach także umarła, zostawiając maleńką dziecinę przy piersi, która się zdrowo we dworze chowa.

Wielka wdzięczność należy się dziedzicom wsi Ewangielewicz, którzy zaraz 58 ludzi pokaleczonych zabrali do dworu do Ussowa, gdzie dla nich umyślnie urządzili szpital. Sprowadzili trzech doktorów, pięciu cyrulików i najęli sześciu ludzi do posługi; chorych zaś pomieścili w trzech wielkich izbach: w jednej ciężko pokaleczonych, w drugiej lekko rannych, a w trzeciej same kobiety, między któremi było siedm z dziećmi przy piersiach a dwie przy nadziei.

Do dzisiejszego dnia nie znają jeszcze ludzie pewnego lekarstwa na wściekliznę, jak na inne słabości; to też pomimo najtroskliwszego starania około chorych, z 58 ludzi tylko 22 nie dostało wścieklizny, resztę wszyscy pomarli. Człowiek pokąsany przez wściekłe zwierze, po kilku dniach albo tygodniach, a nawet po pół roku może dostać wścieklizny czyli *wodowstrętu*, dla tego tak zwanego, że na samo wspomnienie wody chory się wzdryga, a wtedy już nie ma dla niego ratunku; najwięcej cztery lub pięć pni w tym okropnym stanie wytrzymać może. W szpitalu ussowskim wszyscy wścieklizną dotknięci, skarzyli się na wielkie ściskanie w gardle, suchość języka i podniebienia, i na wielkie pragnienie, prosili o napój jaki bądź byle nie wodę, więc dawano im herbatę albo kwiat lipowy. Wszyscy poddawali się chętnie opiece doktorskiej i przyjmowali lekarstwa; zjawili się jednak doktorowie nieproszeni, jak baby wiejskie, lekarki, znachory i inne włóczęgi, którzy obiecywali każdego odrazu uzdrowić.

Otóż biedni ludziska, chcąc jak najprędzej do zdrowia powrócić, prosili aby tych znachorów do nich przypuścić i próbowali także ich leków, ale im to nic nie pomogło. Jeden młody żołnierz, któremu poradzili że byle się tylko wody napił jak go wścieklizna napadnie to mu nic nie będzie, pił wodę przez gwałt i nawet dwa dzbany na siebie wylał, ale i tak życia swego nie mógł uratować.

Wścieklizna jest to najstraszniejsza choroba jaka człowieka dotknąć może; staje się on wtedy podobny wściekłemu zwierzęciu, jest dla drugich równie niebespiecznym, rzuca się i miota na wszystko co go otacza i w okropnych męczarniach życie skończyć musi. W ussowskim szpitalu przygotowali umyślnie osobną izbę dla takich, ale szczęściem zachował ich Pan Bóg od takiego strasznego stanu; wszyscy zachowali się spokojnie i żaden do samego ostatka przytomności umysłu nie był pozbawiony. Czując śmierć bliską, żegnali się spólnie rodzice z dziećmi, dzieci z rodzicami, mężowie z żonami, żony z mężami, przyjaciele z przyjaciółmi — niektórzy nawet rozporządzili swoim dobytkiem i jako prawdziwi chrześcianie rozstali się z tym światem.

Ogółem umarło 41 ludzi, wyzdrowiało 22. Z kobiet mających dzieci u piersi umarło cztery, wyzdrowiało trzy; dzieci choć ssały piersi matek są wszystkie zdrowe i chowają się.

Jedna kobieta przy nadzei będąca wyszła ze szpitalu zupełnie zdrowa; druga trzy dni przed napadem wścieklizny urodziła dziecko, które się także zdrowo chowa.

Tyle zatem nieszczęścia w jednej godzinie sprawiło jedno wściekłe zwierze, i byłoby pewnie w drugiej wsi to samo się stało, gdyby nie szlachetne poświęcenie się i wielka odwaga Apanaza Rocki, którego pamięć długo między ludem tamtejszym żyć będzie, i każdy imię jego wnukom swoim z wdzięcznością wspomni. Pamiętajcie moi ludzie na to, że zawsze lepiej siebie ofiarować, byle drugich ocalić, i że taki uczynek Pan Jezus każdemu w przyszłem życiu porachuje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.